Ermitaż nad Tagiem. Maria Danilewicz-Zielińska.

Maria Danilewicz-Zielińska, po osiedleniu się w Portugalii, w pobliżu Lizbony, nazywana „Latarnikiem w Feijó”, fot. Ludomir Danilewicz, ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Florian Śmieja

W emigracyjnym polskim Londynie lat wojennych i powojennych roiło się od instytucji i ludzi. Byli też ludzie-instytucje. Jedną z niekwestionowanych osób tego rodzaju była Maria Danilewiczowa, energiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w dzielnicy Kensington, wysoka, przystojna blondyna, cieszyła się respektem i sympatią wielu czytelników. Pewnie do wszystkich klientów i petentów biblioteki podchodziła życzliwie, ale młodych, a szczególnie adeptów pióra, hołubiła najcieplej. Podsuwała im lekturę, chętnie radziła, czytała ich pierwsze utwory, służyła opinią,

promowała ich na łamach prasy, wymieniała w swoich wystąpieniach publicznych.

Kiedy w latach pięćdziesiątych pojawiły się w Londynie polskie pisma młodzieży akademickiej, znalazły w pani Marii gorliwą orędowniczkę i sympatyczkę, a nawet chętną współpracowniczkę, autorkę wczesnego szkicu o literaturze emigracyjnej.

Poznaliśmy ją ponadto i cenilismy jako prelegentkę i autorkę licznych artykułów w czasopismach literackich, wreszcie jako prozaika, twórcę opowiadań i powieści, także jako krytyka piszącego wnikliwe szkice.

Urodzona 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim Maria Ludwika Markowska studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim uzyskując magisterium w 1929 roku. O krajobrazie dzieciństwa wspomniała później w jednym z listów. Pocieszała mnie w nim po jakiejś literackiej utarczce.

> *Łobodowskim przejął się Pan więcej ode mnie. Ja nie traktuję go poważnie i nawet nie trudzę się, by mu odpowiadać, choć popełnił kilka zasadniczych pomyłek. Przypisał mnie np. do Włocławka, a ja – choć urodzona na Kujawach – byłam w tym zacnym grodzie nadwiślańskim niespełna trzy lata w końcowych klasach gimanzjum, a wakacje spędzałam na obozach harcerskich pod nosem Łobodowskiego, bo w Zwierzyńcu Ordynackim w pobliżu Zamościa. Na dodatek Ojciec mój wychowywał się w Lublinie i tam kończył gimanzjum. Wyrosłam więc nie tylko w zasięgu miazmatów kujawskich. To raczej… Prymas Wyszyński, Pietrkiewicz, Kuncewiczowa, Nowakowski (Zygmunt, przyp. FS), a także Tadeusz Nowakowski związani byli z Włocławkiem. Katedra, której się oberwało, że jest neogotycka, jest autentycznym zabytkiem z XIV w. itd. (To odżegnywanie się od zażyłości z Włocławkiem nie przeszkodziło w tym, że została honorowym obywatelem miasta Włocławka).*

Do wybuchu wojny w 1939 roku pracowała w Bibliotece Narodowej. Opuściwszy Polskę przez trzy lata przebywała we Francji, a następnie przez Lizbonę dotarła do Anglii. Wróciła tam do bibliotekarstwa i do roku 1972 prowadziła Bibliotekę Polską. Współpracowała z pismami polskimi i brytyjskimi drukując głównie prace bibliotekoznawcze i bibliograficzne, także katalogi wystaw, przyczynki naukowe i teksty literackie.

W roku 1953 tomem opowiadań „Blisko i daleko” zadebiutowała jako prozaik. Trzy lata później również w wydawnictwie Veritas ukazała się jej powieść „Dom”. W roku 1960 wyszedł tom szkiców literackich „Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy”.

Jej długoletnie zainteresowanie piśmiennictwem emigracyjnym zaowocowało, po szeregu próbnych prac, książką „Szkice o literaturze emigracyjnej” w roku 1978, wydane powtórnie w Paryżu, a następnie . poszerzone w Polsce w Ossolineum. W 1992 wyszedł w Warszawie zbiór szkicow literackich i historycznycn „Próby przywołań”. Posypały się różne inne publikacje i wznowienia.

Po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się po śmierci męża do Portugalii jej aktywność, teraz już Zielińskiej (wyszła powtórnie za mąż), nie osłabła. Nie zamknęła się w ślicznym domku pod Lizboną którego białe ściany obwieszone były starymi mapami Polski oraz kopiami listów królów polskich, wśród wiecznozielonych aromatycznych krzewów i kwiatów, choć sprawiały jej wiele radości. Komentując kiedyś moje fotografie przysłane z Kanady, śnieg i nikłą roślinność dodała:

> *[…] u mnie pod samym oknem kwitnie hibiscus, a w ogrodzie szaleją nasturcje i nagietki i jakieś kwiatowe odmiany bardzo urodziwych słoneczników hodowanych dla piękności kwiatów.*

Jej ulubionymi kwiatmi były fuksje. W innym liście pisała, że patrząc ze swojego okna

> *[…] podziwiam czerwono-fioletowe fuksje, które w tym roku oszalały i uginają się pod ciężarem kwiatów. Nazywają się ładnie po portugalsku: „brincos de princesa” (klejnociki księżniczki – FS). W pobliżu kwitną nagietki – nasze polskie nagietki – portugalska nazwa „maravilhas” trafiła do „Księcia Niezłomnego” – Słowacki ich nie utożsamił, a brzmienie nazwy mu się najwidoczniej podobało.*

Choć mieszkała w Portugalii, nadal uczestniczyła w jury nagród pisarskich. Tak motywowała wybór jednego z nagrodzonych Nagrodą Kościelskich poety:

> *Nagrodę emigracyjną otrzymał Bolesław Kobrzyński, autentysta, autor wierszy wojennych, od lat przebywający w szpitalu. Nagroda umożliwi przypomnienie jego twórczości, wczorajszej – to prawda, ale korzystnie odcinającej się od tradycyjnych*

wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.

Ten szpital odwiedziłem kiedyś na zaproszenie poety Bronisława Przyłuskiego. Wśród słuchaczy był również Kobrzyński. Zabierał głos bardzo interesująco, potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero objawiły się jego lęki i ukazała przyczyna jego hospitalizacji. Korespondowaliśmy trochę. On mi przysyłał długie, pięknie kaligrafowane wiersze, których pisał dużo. Ja mu dostarczałem papieru i znaczków.

Wieści nadchodzące z samotni pani Marii niekiedy potrafiły zadziwić. Zakomunikowała raz takie spostrzeżenie:

Czy zauważył Pan, że w r.1989-91 wydarzyło się coś ze wszech miar godnego uwagi, co i Pana bezpośrednio dotyczy. Prawie równocześnie, w odstępach paru miesięcy, mimo trudnych warunków wydawniczych pojawiły się „Wiatr z innej strony" Bogdana Czaykowskiego, „Niespodziewane żywoty" Jana Darowskiego, co najmniej dwa tomiki Bolesława Taborskiego ("Szekspir" i „Polityka"), „Jesień" Adama Czerniawskiego – a niewiele wcześniej zebrane wiersze Zmarłych Ławrynowicza i Gniatczyńskiego. Do tego trzeba dodać działalność na pokrewnych polach: Jerzego Sity jako wydawcy i Taborskiego w BBC („Sztuka nad Tamizą"). Obserwując to zjawisko dochodzę do wniosku, że stoimy wobec „powtórnego debiutu" czy renesansu grupy poetów londyńskich. Jest to zjawisko na miarę „wybuchu" twórczości Skamandrytów w 1939/40. Może mi Pan odpowiedzieć, że niektorzy wymienieni pisali i publikowali „ciurkiem" (jak się mawia w sekcji Polskiej BBC) – ale zgodzi się Pan, że najnowszy zbieg okoliczności ma swoją wymowę, zwłaszcza, że z wyjątkiem przedwcześnie zmarłych, nic nie zapowiada, by nie było dalszego ciągu (np. Busza). Dla mnie, kronikarki literatury emigracyjnej, z musu porywającej się na hierarchizowanie, jest to wydarzenie wielkiej wagi, bo w pewnym stopniu oznacza przedłużenie literatury emigracyjnej, bo przecież chcąc nie chcąc jesteście par excellence poetami i pisarzami rezprezentującymi tę emigrację i to w stopniu wyższym od wielu lansowanych przez niektóre koła (zwłaszcza w Kraju) wielkości emigracyjnych (Wat!).

Posyłałem jej niekiedy ciepłe jeszcze tomiki moich wierszy.. Po odebraniu „Ziem

utraconych” tak do mnie napisała: „To najlepsze Pana wiersze. Jak Staff i jak Wierzyński pisze Pan im później, tym lepiej. Zna Pan zapewne opinie o profesorach niemieckich: najlepsze prace piszą na emeryturze. Myślę, że odnosi się to – ogólnie biorąc – także do poetów a do Pana w szczególności. Gratuluję i zachęcam do ‘Medytacji’, podsumowania grzechów (nie) wielkiej Emigracji i nie bania się Smutku ludzkiego a Smętka narodowego. Balansuje Pan zręcznie między Tradycją a POSTmodernizmem i uchował się Pan przed ‘obowiązkiem’ deklarowania wierności Jungowi, Derridzie i Bachtinowi”.

Zdarzało się, że jakiś pojedyńczy wiersz spodobał się na tyle, że powodował niespodziewane, obszerne komentarze.

> *Bardzo mnie wzruszyło „Życie pozagrobowe”. Przystaje do mojej sytuacji („Więcej wśród nas umarłych”), gdy tkwię samotnie i „przecież żyję”, a mam przed sobą raptownie się zwężający margines czasu i blisko terminowe spotkanie ze śmiercią, bez gwarancji, że spotkam się z bliskimi, których widma (fantazmy?) krążą po nocach tak realistycznie, że po przebudzeniu z trudem oddzielam marę od otaczającej mnie rzeczywistości i, mimo wszystko, obcego otoczenia. A przecież nie umiem i nie chcę oddalać się stąd, a że i wiek i stan zdrowia dyktują spokojną egzystencję, więc siedzę (teraz przy otwartych na ogród drzwiach […].*

Pani Maria zawsze reagowała na wspomnienie ludzi, których znała. Kiedy zmarł stryj mojej żony, Juliusz Poniatowski, napisała:

> *Pana Juliusza znałam długo i dobrze. Jeszcze z czasow, gdy pisałam o Krzemieńcu i często jeździłam na Wołyń. A i w Warszawie, gdzie widywałam go najczęściej u tzw. „starego Stempowskiego”. To był wspaniały człowiek.*

Kiedy indziej widocznie poskarżyłem się listownie na Iwaniuka, na co nadszedł taki jej komentarz:

> *Niepotrzebnie przejmuje się Pan Iwaniukiem. To bardzo nieprzyjemny facet. Miałam z nim takie przejście. Przysłał do Biblioteki tom swoich wierszy. W podziękowaniu był błąd maszynowy w nazwisku (na kopercie brzmienie było prawidłowe). Przegapiłam, podpisałam. Zareagował ordynarnym listem, a tak się*

złożyło, że na krótko przed tym w decydujący sposób pomogłam do przyznania mu nagrody Kościelskich, bo moi Koledzy z Jury wierszy jego (poza Jeleńskim) nie czytali. Złośliwiec zakompleksiony.

Pani Maria raz po raz zachęcała mnie do pisania do rocznika „Antemurale" pragnąć ożywić badania na odcinku ibericów. Okazało się, że nawoływała bez skutku. Sama zaś, znalazłszy się na nowej ziemi zajęła się gorliwie luso-polonikami. Jej mąż Adam Zieliński zebrał dwadzieścia kilka utworów poetów portugalskich dziewiętmastego wieku dotyczących Polski, a wywołanych echami powstania styczniowego. Na próżno usiłowano mnie wciągnąć do współpracy. Usprawiedliwiałem się słabą znajomością portugalskiego i innymi pilnymi obowiązkami. W końcu powstały z tego 34 felietony radiowe p. Marii o luso-polonicach. W „Wiadomościach" natomiast pojawiły się bogato ilustrowane, ciekawe artykuły o Luzjadach. O ile sygnały emigracyjne były niesprzyjające (nie interesował ponoć czytelnika polskiego Camoes), z Polski nadszedł list profesora Stefana Kieniewicza, specjalisty od roku 1868 przyznający, że autor nie wiedział nic o tej fali sympatii dla Polski w Portugalii.

Maria Danilewicz-Zielińska – twórczyni i dyrektorka Biblioteki Polskiej w Londynie, fot. ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Także wydaniu „Mickiewiczian" towarzyszyły opaczne sygnały. Pani Maria w 1991 roku napomknęła, że „Mickiewicziana przeszły bez echa", ale sądzę, że pozostaną one trwałym świadectwem jej edytorskiego zapału. Nie była to robota wcale łatwa.:

> *[…] opracowanie ich kosztowało mnie ponad rok życia, ale była to praca emocjonująca i chyba celowa. Dwa dalsze lata pochłonęła walka z drukarniami – absurdalna, bo książka ukazała się tylko pozornie nakładem „Arkad", a w rzeczywistości sfinansował jej wydanie dr Tomasz Niewodniczański, właściciel opublikowanych obecnie autografów i jeszcze cenniejszego „Albumu Moszyńskiego", który wejdzie do tomu drugiego, a zawiera robocze wersje wierszy z okresu rosyjskiego, w tym sonetów krymskich. Demonstruje tam Mickiewicz swój*

warsztat poetycki, wielokrotne nanoszenie poprawek (nie zawsze ulepszeń) itp.

Lata płynęły. Starszy mąż wymagał troskliwej opieki. Lekarz rozkładał bezradnie ręce słuchając opowieści o symptomach choroby i mawiał *idade*, wiek! Pani Maria poczuła, że i ją wysiłek zaczął męczyć, a tyle jeszcze chciała zrobić.

Szczęśliwym pomysłem okazał się mój wypad z Sewilli do Portugalii w roku 1988, kiedy prowadziłem w tym mieście kurs języka hiszpańskiego dla grupy kanadyjskich studentów. Poprzednio odwiedziłem podlizbońską samotnię z żoną i czworgiem dzieci w roku 1975 w sam gorący czas przewrotu w Portugalii, kiedy zbuntowane wojsko i czerwone watahy przewalały się złowieszczo ulicami smarując cudowną biel domów i kościołów czerwonymi gwiazdami, sierpem i młotem. Wydawało się, że padnie demokracja. Tym razem jechałem sam autobusem przez rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury. Przy tej okazji nagrałem z panią Marią rozmowę, a raczej wywiad na temat literatury emigracyjnej. Wydrukował go Giedroyć w „Kulturze" i zapoczątkował całą falę publikacji na ten nagle modny temat. Pani Maria zanotowała całą sprawę wielkodusznie:

> *[…] wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy.*

Lecz nieubłagany czas zabrał męża. O swoim domu o nazwie *Romazeiras* pisała : „[…] to obecnie jednoosobowy damski klasztor trapistów". Nie dawała jednak za wygraną. Podjęła inny temat:

> *Usiłuję pisać wspomnienia. Kujawskie dzieciństwo i młodość jakoś dały się opisać, utknęłam na obrazie Dwudziestolecia, bo im dalej w lata, tym bardziej rozgałęziają się moje sprawy i „geograficznie" powiększa świat. Wcześniej napisane fragmenty o Londynie czekają na włączenie we właściwe miejsca, a całość się nie klei i chyba nie sklei. Giedroyć uważa, że moje życie było (i jest) ciekawe, co wydaje mi się błędną oceną, bo – co zarzucili mi Bednarczykowie – nie mam za sobą doświadczeń zsyłkowych i więziennych. Myślę jednak, że niektóre moje przeżycia i doświadczenia wymykają się szablonom, a samotność sprzyja rewizji ocen o dawnych doświadczeniach życiowych.*

Odpowiadając późno, jak sądziła, na mój list napisała:

> *Tłumaczy mnie, poza karygodnym lenistwem, mój podeszły (?) wiek – przed tygodniem skończyłam 88 lat i sama się dziwię, że jeszcze żyję, czytam, piszę, a nawet występuję w telewizji.*

Powróciła też do poprzedniego tematu, do sprawy wspomnień.

> *Piszę wspomnienia, ale w tej wczesnej brulionowej formie jest to raczej sprawozdanie czy „curriculum vitae" niż obraz subiektywny przeżyć w różnych epokach życia: krajowej (do 1939), francusko-angielskiej i portugalskiej (już 22 lata).*

Doczekawszy dziewięćdziesięciu lat przyjmowała los filozoficznie:

> *Czuję się, „as well as it can be expected" to znaczy łamią mnie kości na zmianę ,źle sypiam, to znow gnębi mnie senność – co usprawiedliwia lenistwo, a margines życia przede mną stale się zwęża.*

Nie narzeka na własną sytuację, pociesza innych, którzy szukają u niej pociechy. Po wizycie znajomej, która nie mogła przeboleć utraty matki, do której była bardzo przywiązana, Danilewicz-Zielińska notuje:

> *Musiałam, chcąc nie chcąc, udawać psychoanalityka i zabijając własne wspomnienie tłumaczyć śmierć jako wolę Bożą, nie omijającą nikogo. W moim wieku wymaga to samodyscypliny i unikania analogii.*

Szczęśliwym zrządzeniem potrafi jeszcze czytać, co robi z przyjemnością oraz „narkotyzuje się" TV Polonią. Zachwyciła się np. oglądając wystawienie „Zemsty". W sierpniu 1999 odebrała mój list z kolejnym sprawozdaniem z mojego pobytu w Polsce.

> *Zazdroszczę Panu możliwości częstych wyjazdów, a w szczególności Wilna. Ja nie mogę odwiedzić nawet Włocławka, do którego ciągnie serce, ledwo łażę po domu i*

serce nawala (zemdlenia), nie nadaję się do podróży samolotami – a tak stąd daleko.

Kartkę napisała regularnym, pięknym pismem ręcznym, którego niewielu ludzi w życiu się potrafi dopracować.

Święta Bożego Narodzenia 2000 roku spędziła u przyjaciół w eleganckim podlizbońskim kurorcie Estoril. Mogła stamtąd podziwiać zmienne, malownicze krajobrazy oceaniczne. Pojechała ze swoją najnowsza książką „Fado o moim życiu", której egzemplarz miałem w styczniu odebrać. Było to Boże Narodzenie po wodzie. W liście z 12.01.2001 r. już po powrocie do Feijo wspominała ciężki okres pracy bibliotekarskiej w Londynie, który nie pozostawiał czasu na pisanie i że dopiero po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się do Portugalii mogła napisać „Szkice o literaturze emigracyjnej" i eseje, które złożyły się na książkę „Fado o moim życiu".

Nie przeczuwała, że nowy rok zacznie się fatalnym załamaniem się zdrowia i że tragiczny pożar zniszczy część dokumentów jej owocnego życia. Pani Maria, Bogu dzięki, wraca szybko do zdrowia, ale nie może nie być wstrząśnięta niepowetowaną utratą książek i listów. Chciałem wierzyć, że „pustelniczka", dotknięta tak wieloma próbami i z tej wyjdzie obronną ręką.

Maria Danilewicz-Zielińska zmarła 22 maja 2003 roku w Quinta das Romazeiras w Portugalii (przy. red.).

O Marii Danilewicz-Zielińskiej:

Portugalskie rekonesanse